

Mariupol – bilet w jedną stronę

30 marca 2022

24 lutego 2022 roku mieszkańcy Mariupola, podobnie jak wszyscy Ukraińcy, obudzili się w innym kraju. Wojna trwała już ósmy rok i mieszkańcy Mariupola byli przyzwyczajeni do odgłosów ostrzałów, ale teraz odbywały się one nie kilkadziesiąt kilometrów od miasta, lecz bardzo blisko. Autora tych słów nie obudziły rano dźwięki wybuchu rakiet, jak większości mieszkańców Mariupola, ale obudził go telefon. Po drugiej stronie linii jego krewni chcieli uzyskać najnowsze informacje na temat inwazji wojsk rosyjskich na terytorium Ukrainy.



W pierwszym dniu otwartej wojny Mariupol wydawał się całkiem bezpiecznym miejscem i autor tego eseju był głęboko przekonany, że miasto przetrwa, a okupant nie zostanie dopuszczony nawet na jego obrzeża. Była elektryczność, woda, telewizja, radio i Internet. Dzień przebiegł tak jak zwykle, z tą różnicą, że autor znacznie częściej niż przed 24 lutego otwierał strony portali informacyjnych. Następnego dnia nie nastąpiły drastyczne zmiany, ale wielu mieszkańców miasta po raz pierwszy w życiu usłyszało nowe dźwięki – huk przelatującego samolotu i bombardowania z powietrza. Następnie uderzono na wioskę Sartana, położoną na obrzeżach Mariupola.

Wieczorem odcięto elektryczność, a także Internet i telewizję, ale to wydarzenie nie było jeszcze postrzegane jako coś nadzwyczajnego – istniała nadzieja, że następnego dnia elektryczność zostanie przywrócona. Autor nie wiedział jeszcze, że w Mariupolu nie będzie już elektryczności... Nie było jeszcze problemów z łącznością komórkową ani z zaopatrzeniem w wodę. Naloty zdarzały się rzadko, a sygnał syren nie były słyszalne we wszystkich częściach miasta.

Jednak po kilku dniach mieszkańcy Mariupola musieli stawić czoła nowej rzeczywistości, na którą nie wszyscy byli przygotowani.

Woda płynęła z kranów jeszcze przez kilka dni. W pierwszym tygodniu marca miasto straciło wszelką łączność ze światem zewnętrznym. Jeszcze 1 marca sklepy były otwarte. Ale ludzie w ciągu kilku godzin zmiotli wszystko z półek. Nie było już kolejnych dostaw żywności. W mieście nie można było znaleźć chleba w żadnej postaci. Nasilały się grabieże. Ludzie nie bali się plądrować sklepów, nawet jeśli mogło im to grozić utratą życia. Niektórzy brali jedzenie i wodę, ale wielu chwyciło wszystko, co było w zasięgu wzroku – drogie telefony komórkowe, narzędzia, alkohol i wszystko, co w oblężonym Mariupolu było absolutnie bezużyteczne.

Autor nigdy nie pomyślałby, że to szczęście, że jego rodzina mieszkała na obrzeżach miasta, w prywatnym domu, ale to rzeczywiście było szczęście – tutaj tylko zakłady przemysłowe były ostrzeliwane i bombardowane z powietrza, a sektor prywatny praktycznie nie ucierpiał. Mieszkańcy jednego rejonu Mariupola o wszystkim, co się działo, dowiadawali się tylko z plotek i opowieści tych, którzy odważyli się pójść (lub pojechać) do centrum w poszukiwaniu jedzenia. Każdego wieczoru niebo tonęło w ogniu, gdy płonęły wschodnie i zachodnie przedmieścia Mariupola, które Rosjanie ostrzeliwali z TOS-1.

Jeszcze przed połową marca rodzina postanowiliśmy wyjechać z miasta samochodem. Paliwa było bardzo mało – tylko tyle, ile zdążyliśmy zgromadzić w lutym, bo stacje benzynowe od dłuższego czasu były nieczynne. Próba nie powiodła się – kierunek na Zaporozże został zamknięty z powodu walk i nasz mały, kilkusoimachodowy konwój zawrócił, akurat w miejscu, gdzie padały pociski nieprzyjaciela i płonęły największe miejskie centra handlowe. Dopiero wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy, jak wyglądało miasto po dwóch tygodniach ciężkiego ostrzału. Nie wydawało się to jeszcze tak katastrofalne, wielu ludzi błąkało się po ulicach w

poszukiwaniu jedzenia i wszystkiego, co potrzebne do przeżycia. To był dopiero początek.

Zaczynała się szara, monotonna codzienność przetrwania w całkowitej izolacji, bez podstawowych środków do życia, jedzenia, wody, elektryczności, gazu czy ciepła. Nie było sieci komórkowej ani Internetu. Jak już wspomniałem, moja rodzina miała szczęście, mieszkaliśmy w prywatnym domu, więc mieliśmy ogrzewanie. Ludzie mieszkający w budynkach wysokościowych nie mogli sobie pozwolić na tak wielki luksus.

Ranek rozpoczynaliśmy od rozpalenia ogniska na dziedzińcu, aby ugotować posiłek nad ogniem. Wodę znaleźliśmy w studni, oddalonej o sto metrów od miejscowego cmentarza. Codziennie rano do studni ustawiała się długa kolejka – woda była zdatna do picia, choć z domieszką piasku. Gdy był śnieg, również go zbierano, topiono i wykorzystywano do potrzeb domowych. Gotowaliśmy to, co zostało z czasów, gdy były jeszcze sklepy – te ostatnie przestały działać około 12 marca.

Dla odwrócenia uwagi ludzie próbowali zajmować się pracami gospodarczymi, łudząc się nadzieją, że zdążą uporządkować swój dom, zanim do Mariupola wróci spokojne życie. Intensywność ostrzału i nalotów stale rosła. W trzecim tygodniu inwazji wydawało nam się, że samoloty nawet nie odlatywały od miasta, krążyły i zrzucały bomby. Według moich obliczeń, bomby były zrzucone co 10-15 minut. Bombardowania były szczególnie intensywne w nocy, od około północy do świtu. Myśleliśmy, że głównym celem były fabryki, ale w rzeczywistości bardziej ucierpiało centrum miasta, gdzie skoncentrowane były wielopiętrowe budynki.

W pewnym momencie artyleria prawie zamilkła – rozpoczęły się walki uliczne, ale intensywność bombardowań lotniczych nie zmalała. Coraz częściej moja rodzina zaczęła mówić o opuszczeniu miasta w kierunku Zaporozża. Głównym problemem było paliwo, którego nie było w mieście od początku marca. Udało nam się zebrać w sumie około 20 litrów benzyny i z takim

zapasem w baku zdecydowaliśmy się na najbardziej desperacki, ryzykowny, ale jedyny możliwy krok.

Rankiem 24 marca cała moja rodzina obchodziła drugie urodziny. Do centrum miasta dotarliśmy w miarę spokojnie, a tam zobaczyliśmy prawdziwy rozmiar katastrofy – miasto zostało praktycznie zmiecione z powierzchni ziemi. Droga była usłana powalonymi drzewami, częściami budynków, resztkami spalonego sprzętu wojskowego oraz zwłokami żołnierzy i cywilów. Wzdłuż drogi czołgali się ranni mieszkańcy Mariupola, którzy próbowali się ukryć i ocalić życie.

Jadąc przez centrum miasta, znaleźliśmy się w samym środku walk ulicznych. Kule świstały obok samochodu, nerwy były napięte do granic możliwości, a ja chciałem tylko zamknąć oczy, żeby nie widzieć, co się dzieje. Droga wzdłuż morza była spokojniejsza, ale wzdłuż całej drogi stały kolumny ludzi z bagażami, którzy próbowali opuścić Mariupol pieszo, bezskutecznie próbując zatrzymać przejeżdżające samochody.

Pierwszy rosyjski punkt kontrolny był prawdziwym sprawdzianem naszych sił i przygotował nas na kolejne spotkania z okupantem na naszej trasie. Dopiero po opuszczeniu Mariupola konwój uchodźców po raz pierwszy stanął twarzą w twarz z tymi, którzy metodycznie ścierali miasto z powierzchni ziemi. W punktach kontrolnych musieliśmy poddać się szeregowi upokarzających procedur – okupanci szczególnie uważnie sprawdzali mężczyzn pod kątem specyficznych tatuaży wojskowych i przeszukiwali ich smartfony w poszukiwaniu zdjęć i nagrań wideo z terenów objętych wojną. Pytali również, do kogo należy Krym. Sumienie podpowiadało im właściwą odpowiedź, ale zwyciężył instynkt samozachowawczy.

Nigdzie indziej na swojej drodze od zrujnowanego Mariupola do spokojnego Zaporozża autor tych słów nie widział zniszczeń na tak wielką skalę jak w tym pięknym niegdyś nadmorskim mieście. Taki jest krwawy hołd, jaki spokojne ukraińskie miasta składają krwiożerczemu okupantowi, który pod hasłem wyzwolenia

dokonuje ludobójstwa na narodzie ukraińskim.

Autorstwo: Eugen Gorb

Źródło: PolUkr.net